

Andrzej Sosnowski, Dominika Kotuła

Kuglarstwo i metafizyka : na marginesie "Sylwetek i cieni" Andrzeja Sosnowskiego

Prace Literaturoznawcze 1, 315-319

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dominika Kotuła

UWM w Olsztynie

Kuglarstwo i metafizyka. Na marginesie *Sylwetek i cieni* Andrzeja Sosnowskiego

**Andrzej Sosnowski, *Sylwetki i cienie*, Biuro Literackie, Wrocław
2012, ss. 56.**

*nie marzyła mi się jednak przyjemność umknięcia nowoczesnym cierpieniom*¹

Arthur Rimbaud

W swojej najnowszej książce Andrzej Sosnowski po raz kolejny przywołuje znajome, złowróżbne i zachwycające frazy, pochodzące z wcześniejszych zbiorów wierszy. Tradycyjnie poddaje je licznym odkształceniom oraz modyfikacjom, w znany sposób sampluje i remiksuje. Swoje słynne gusta odprawia w specyficznych okolicznościach – tym razem za scenografię służą mu elementy apokaliptyczne, towarzyszące od dawna wyczekiwanemu końcowi świata. Nie tylko słowa tutaj idą w rozsypkę, właściwie „wszystko tu rwie się i strzępi”. Już inicjalne wersy tomu przypominają o fragmentaryczności, od której nie da się nigdy uciec, a także o rozbiciu, od którego zawsze można zacząć. Niepokoi przyspieszony oddech i intensywność pierwszych akapitów poetyckiej prozy *REM*, w której zdania układają się w nie do końca staranne, pobieżne streszczenie najważniejszych założeń, określających teoretyczne zaplecze tej poezji. W nonszalanckiej wyliczance pojawia się arbitralność, antyreferencjalna zmysłowość i, najważniejsza spośród nich, przenikająca wszystkie struktury ironia. Czy indyferencja? Na pewno „prawda w sensie dosłownym, jak i w każdym innym”. Rimbaudowskie samogłoski spotykają się tu z de Manowskimi cyframi oraz ze śmiercią, otulającą każdy akt stworzenia. Clara Venus spaceruje z Prznjśwtsz Dziewicą, wokół nich wirują fantomy znaczeń i to wszystko, oczywiście, rozgrywa się w przestrzeni języka, z którym już tylko „diabelskie skaranie” i „plaga”. Doprawdy, trudno opanować oszołomienie. Jak zazwyczaj, w tych wierszach: „w jednej chwili zaczyna się coś oszałamiającego, w powietrzu drży oszołomienie: oddychamy

¹ A. Rimbaud, *Niepodobieństwo*, w: A. Międzyrzecki, *Rimbaud, Apollinaire i inni (Wybór przekładów)*, Warszawa 1988, s. 100.

tym oszołomieniem”². Znajdujemy się wewnątrz, jesteśmy w trakcie finalnej podróży. Trwa prywatna apokalipsa, oglądamy zagładę w reżyserskiej wersji. Naczelny poemat tomu to w końcu „Seans po historiach”.

Sceneria okazuje się nieco inna niż w ostatnich książkach. Zamiast raczyć się generującymi określone stany ekstazy i traumy, rezygnując z wyjątkowością czy nekromancy, a potem sylabizować lub wsłuchiwać w rozwarstwiony głos, tym razem, mimochodem i mimowolnie, przesuwając wzrok, odwiedzić można surrealne miejsca. Minać demolatorium i suspirorium, przemknąć przez lakrymatorium (zbyt jawna rozpacz nigdy nie była w dobrym tonie) – wszystko po to, by zatrzymać się w zaciemnionym tenebrarium, w którym kształty wyłaniają się z mroku i chwilami bywają całkiem ostre. Zarysy, cienie, figury, imiona oraz dźwięki (i techniki słów miewają przecież swoje materialne kształty) wkraczają na scenę, żeby wziąć udział w pokazie znajomych, choć nie do końca oswojonych, obrazów nocy i oceanów, prezentowanym przy akompaniamencie niemożliwej melodii. Wizualnym elementom towarzyszą równie spektakularne efekty akustyczne. Iluzje tłoczą się, oczekując w każdej aurze, a zmiany w „scenach widzenia” zaczynają zachodzić coraz szybciej. Zabawa wizyjnym kalejdoskopem pozwala na wytechnienie temu, kto, etatowo i trochę z przymusu, zajmuje się profesjonalną obsługą niszczarki. Podobnie jak w *poems*, Sosnowski z upodobaniem obsadza w roli dyspozytora obrazów chaotycznego histriona, wprawnie i ekwilibrystycznie łączącego ekscytację z powściągliwością. Widowisko, produkowane czasem ze znużeniem, lecz częściej z rozczuleniem, olśniewa i wzbudza subtelne rozbawienie – w dodatku towarzyszące mu atrakcje sprawiają radość dzieciom. Nie wypada jednak tracić czujności w obliczu gwiazd, łun i niezwykłości grzechoczących słów. Bohater tomu, zdeklasowany Wodzu Dichter (*alias* Drifter) może wznosić infantylne okrzyki i śpiewać beztrudnie jak „człowiek, któremu pomyliło się wszystko ze wszystkim”, ale wcale nie próbuje zapomnieć o tym, w jakich warunkach odbywa się ten zajmujący seans („dalej już nie istnieje”, „nie było z dawien dawna przeszłości”) oraz o tym, że dzieci – według Rimbauda, jednego z najczęściej przywoływanych w tomie widm – zawsze mogą nosić w sercach przekleństwa.

Tymczasem w potoku egzotycznych imion pojawiają się kłopotliwe spostrzeżenia. „Tekst raczej czytelny, a nikt chyba nie miał za tobą nigdy trafić” – pokpiwa z siebie niegdysiejszy wielbiciel zabawy w *hide and seek*, po czym wdaje się w kokietyjne zwady z krytyką, od niechcienia mnożąc interpretacje i odpowiadając na poważne pytania, zawsze w tonacji *buffo*, z zachwycającą dezynwolturą, która przenika także najbardziej surowe konstatacje i „osobiste” wyznania, chociażby:

² Charles Baudelaire, *O istocie śmiechu (I ogólniej o istocie komizmu w sztukach plastycznych)*, tłum. M. Bieńczyk, „Literatura na Świecie” 1999 nr 10/11, s. 186.

A jestem jak wyraz, który wychodzi z użycia.
A ten wychodzi z życia pięćdziesiąt trzy lata
i jeszcze nie wyszedł? To jest takie smutne.
Ma stos numinotyków, żeby wejść do nieba.
Coś weźmie przed snem, najlepiej w kąpielu
złoty psalm albo złoty strzał i na skrzydełko
obwoluty lub okładki. *One size fits all*

„Tyle mieliśmy przejść i tyle przeżyć. I róż nic a/ nic?” - dodaje chwilę później bohater, który konsekwentny bywa tylko w postępującej „eksterminacji liter i terminów”, praktykowanej zresztą, z pewnym mrocznym entuzjazmem, przez Sosnowskiego od początku kariery. Przy dźwięku cymbałów, cytr i bębnów ogłoszona zostaje era permanentnego końca, zjawisko jednocześnie oczywiste i paradoksalne, zupełnie jak osławiona permanentna para-baza. „Dalej już nie istnieje”, przyszłość okazuje się pustym słowem, pozostają wyłącznie „stare koniunkcje i złe kulminacje”. Panująca epoka jest naprawdę bardzo wyczerpująca, od słów przejść więc można, płynnie i odrobinę eskapistycznie, do snów – nic nie powinno zakłócać sprawnego demontażu instalacji. O tym, że sami się o niego prosiliśmy, opowiadały niegdyś już „tęczowe” tomy. Mgła (kultywowana już przez autora *Sezonu w piekle*) przykrywa tę wyjątkowo estetyczną apokalipsę, której nastrój z infernalnego swobodnie przechodzi w sielankowy, tak jak Dominika płynnie przeistacza się w Demonikę, z wdziękiem poruszając się w „kanonie zaćmień”. Pojawiają się cienie, przesuwiają gasnące błyski, z nieokreślonych miejsc (z pewnością straconych, tak jak zerwane mosty i skruszone schrony) dobiegają ledwo słyszalne tony i rozproszone części imion. Wciąż jednak ci, którzy skazani zostali na bycie „szczęśliwymi inaczej”, rozkwitają w obliczu katastrof. Urozmaicana fajerwerkami i pastelowymi łunami apokalipsa rozgrywa się w sennym transie, czasami tylko poiryutowany głos przypomina, że „generalnie/ to nie są regaty, to nie dyskoteka,/ nie festyn upiorów, lecz widzenie/ srogie... bo losy lecą tu piorunem”. Transmisja tego głosu jest rwana, zresztą od dawna kłopoty pojawiają się już na poziomie emisji. W oczekiwaniu na „mistrza strat, pana pomst”, „złego dilerka kart, feralnych mrzonek i kredytów”, bohater z nostalgią wspomina blask przynależny słowom Jam Pana, „formacji całkiem ostrej”, startującej niegdyś jako „sex’n’angry pistol” i jest w tej sentymentalnej roli tak samo wiarygodny, jak w każdym ze swoich poprzednich utożsamień. Chwilę później, już jako znany odbiorcom dandys i „obrazkotwórca”, tradycyjnie bawi się interpretacjami „uczonych w mowie specjalistów”. Może im na złość, a może dla ich perwersyjnej rozrywki, refrenem swojej śmiertelnej piosenki czyni nazwę znanego islandzkiego wulkanu. *Eyjafjallajökull* to słowo, którego wymowy uczyć się można „do końca świata” lub, ewentualnie, w jego trakcie.

Ten koniec jest niewątpliwie darem. Erupcje i wybuchy wytrącają mowiącego z letargu, z bezsenne transu, odwodzą go od upartego wygaszania

agresywnie migoczących ekranów. Pragnie być pytany o miejsca: „ciemne, osobne, puste”, jego głos dzięki gromom odnajduje prześwity, a destrukcja pozwala mu dostrzec alternatywy. „*I tu bohater śpiewa bardzo słodko*”. Nuci, między innymi, nieskończony, przewrotny i pierwotny hymn na cześć słów:

Bo ciemne okna na świat, imiona,
piękne imiona czyjeś i niczyje, da
po omacku się otworzyć. Choć ten
tiul twardy jak stal, na tobie, też
bardzo lubię, lecz bardziej imiona.
Blask ich i ton, bo nie mają duszy.
Sylwetki i widma, ginące poświęty,
nikłe pogłoski niemych znikliwości.
Widma i sylwetki, sylwetki i cienie.
Kamyki domina, polarne kamienie.

Zachwycającą potęgą języka, jego autoreferencyjną, niezupełnie wyraźną potencjalnością, jego, wreszcie, zmysłowym pięknem i grozą Sosnowski leczy swój wielowarstwowy, ponowoczesny spleen. I nawet jeśli sensory w wypełnionym ostatecznościami tomie układają się losowo – jak domino, i jeśli nawet nagłej, osobliwej naiwności nie wolno ufać, ruiny w tej poezji sportretowane są przepysznymi, a wszelkie wraki zupełnie czarująco prezentują się w blasku komet. Świat wciąż pozostaje snem języka, tak jak my możemy okazać się marzeniami nocy. Antynomie tylko pozornie są wyraźniejsze niż zwykle. Pomiędzy nocą, obdarzoną wizyjnym potencjałem, a dniem, oddanym „en gros dziennikarzom”, pojawia się czarne słońce. Pomiędzy ciałem a pozbawioną cienia nieskończoną „paletą duszy” – maski, nie tylko weneckie. Pomiędzy światłem i mrokiem – „plazmowata breja, cyfry, nieustająca plazmodia”, legendarna frenezja współczesności, trapiąca Sosnowskiego od dość dawna. Poeta, który wydaje się marzyć o tym, by odnaleźć drogę pomiędzy ironicznymi, niosącymi śmierć pisarskimi gestami a ożywiającymi, alchemicznymi eksperymentami, również z najbardziej elementarną opozycją nie godzi się łatwo. Zagłada tutaj nie sprawia wrażenia ostatecznej, dostrzec można pewną niepokojącą cykliczność, a także wariactwo i cyrkowość tego cyklu, doprawdy, *a circling circus* – jakoś trudno jest odejść od *buffo*, kiedy ozłacanie łączy się ze złem, a zbawienie z zabawą. Zawsze przecież można, po raz kolejny zasłaniając się rozpoznawalną już tradycją, objaśniać swoje mijające się z uchwytnymi sensami frazy „halucynacją słów”.

W *Sylwetkach i cieniach* to natrętne *buffo* łączy się z ironią, wieloznaczną kategorią fundującą wszystkie przepełnione transcendentalną fanfaronadą wiersze. W tekście zamykającym tomik Sosnowski inscenizuje spotkanie Pana i Paula de Mana. Enigmatyczny epilog nosi tytuł *Nadzieja* – jego trzecim bohaterem, nieprzywołanym z nazwiska, jest niewątpliwie Baudelaire, swojego czasu dość skrupulatnie analizujący upadki i tropiący ich powiązania ze śmiechem. „Żyją bez istoty kochający i nieustannie upadają w dziwnych

miejscach”, pisze Sosnowski, a chwilę wcześniej zauważa: „przeźrenie z czasem robi się zaraz ironiczna” oraz „z miejsca jest błąd, kiedy pojawia się ironia”. Po raz kolejny podkreśla, a właściwie ostatecznie stwierdza nieprzystawalność języka do rzeczywistości. Cichy śmiech towarzyszy oscylacji ducha nad wodami, a tym świętym duchem, naturalnie, jest ironia – oto wniosek płynący z „dwustu lat zawracania głowy jakimś tam przewrotem”. „Ludzie dowcipnego serca potrafią się nawet opalać przy tych opalizujących oscylacjach”, lecz – przyznanie się do tego nie będzie chyba raziącym naruszeniem *decorum* – i ich ogarnia czasem pewne znużenie. Oszołomienie bywa przecież odrobinę wyczerpujące. A jednak całkowite wycofanie ducha może okazać się czymś boleśnie nieodwołalnym, kończącym urzeczenia, nieskończone translacje i urokliwe aberracje. „Czy de Man ostatnie się w krzyżowym ogniu kolejnych baśni Pana?”. Czy zdekonstruuje potężną formę Behemota? Odpowiedź, zgodnie z regułami najlepszych egzystencjalnych seriali, poznamy w następnym, niewątpliwie równie erudycyjnym odcinku. Ten fascynujący obłęd zaczął się przy śmiechach kręcących ramionami dzieci i na nich, być może, się skończy. „Bądź inaczej”.